

BRAT ARTUR

Pan Bóg posłużył się nim, aby mnie wychować. Nie rozmawiał on wiele ze mną, ale wyprzedzał mnie w życiu. Poznałem go już przy swym nawróceniu. Potem słuchałem go, gdy przychodził do Szkoły Biblijnej. I również za jego sprawą przybyłem do Zagórowa. A teraz mnie odwołał. Zamieszkałem u niego w miłym pokoiku na poddaszu. Był pastorem zboru łódzkiego i kierował ruchem zielonoświątkowym w Polsce. Starszy był ode mnie zaledwie 13 lat. Ale już bardzo wcześniej powierzył mu Pan Bóg te zadania. Miał Boży dar łagodzenia sporów między braćmi i likwidowania rozbieżności doktrynalnych, szczególnie między rosyjskimi braćmi a wspólnotami, które przecież stanowiły większą część ruchu. Społeczność niemiecka liczyła wtedy około 1500 członków, jeśli dobrze pamiętam.

Kazania brata Artura były frapujące. Wyprowadzał ze Słowa zawsze coś nowego, co fascynowało słuchaczy. Takich kazań nie zapomina się nawet po latach. Nie stanowiło dla niego różnicy, czy przemawia w wielkim pomieszczeniu do wielu ludzi, czy też w jakiejś izbie do jednej tylko rodziny i paru znajomych. Zawsze mówił z tryskającą żywotnością. Był jednak również duszpasterzem. Oto przykład: Mieliśmy kolejne nabożeństwo połączone z Wieczerzą Pańską. Przyszli prawie wszyscy. Duch Boży potężnie działał w sercach. Niektórzy przepraszali się, inni wielbili Pana. Z radością podchodziliśmy do siebie. Udałem się do swego mieszkania. Przy obiedzie brakowało brata Artura. Gdzie się podziewał? Pojechał tramwajem do braterstwa, którzy wprawdzie byli na nabożeństwie, ale nie uczestniczyli w Wieczerzy Pańskiej. W takich przypadkach nie myślał o jedzeniu, chciał bowiem przedtem wiedzieć, dlaczego któryś z braci czy siostr nie przystępował do Stołu Pańskiego. Bardzo mocno przemówiło mi to do serca.

Miałem sporo zajęć w jego kancelarii, zwłaszcza ze względu na swą znajomość polskiego. Wiezorami prowadziłem zgromadzenia w okolicy. Niekiedy wysłał mnie do dalszych miejscowości, abym zastąpił kogoś z braci pod koniec tygodnia. Czasem brał mnie na spotkanie z Rosjanami. Były to moje ulubione podróże, za każdym razem mocno przeżywałem wspólną modlitwę, a kłopoty niewarte były nawet słów w porównaniu z błogosławieństwami.

Nadal miałem zwyczaj wstawania o godzinie czwartej, sam. Po dwugodzinnym czytaniu Biblii z modlitwą, wychodziłem ku bramie fabrycznej, by się spotkać z robotnikami. Rozdawałem im broszurki chrześcijańskie w języku polskim. Było to rok przed wojną. Trzeba było bardzo uważać. Choć mówiłem dobrze po polsku, mogli mnie jednak rozpoznać po wyglądzie, że jestem Niemcem. Odczuwałem, że mam redagować i dawać do druku jedynie krótkie teksty. Ponieważ robiłem korektę polskiego czasopisma i tłumaczyłem wiele artykułów z niemieckiego i angielskiego, miałem już wtedy pewną biegłość i wiedziałem, jak trafić do polskich katolików. Jeszcze do dziś są dla mnie tamte początki nauką, w jaki sposób teksty nie tylko pisać, ale również rozpowszechniać. Przypominam sobie, jak przed kilku laty miałem opracować pewien nowy artykuł i czułem przy tym pustkę myślową; wszystko jakby we mnie zamarło. Poprosiłem Pana Boga o wyjaśnienie. Odpowiedział: „Nie podoba mi się, że zapomniałeś o pierwszej miłości!”. Wiedziałem, że w czasie owej „pierwszej miłości” chodziłem z takimi tekstami po domach i po parkach, mimo dużego niebezpieczeństwa. A teraz? Uczyniłem pokutę i skrucę przed Bogiem. Tak, najpierw rozdawałem artykuły, a następnie Pan Bóg pozwalał mi je opracować. Chwała i dzięki za Jego sposoby wychowawcze!

Brat Artur Bergholz znał mnie oraz moje potrzeby. Po pewnym spotkaniu gdzieś na Wschodzie, wieczorem na dworcu kolejowym (który nazywał się bodajże Perespa), powiedział do mnie:

— Gerhardzie, musisz się chyba ożenić. Miałem dopiero 25 lat. Spytałem zaraz:

— Z kim?

Podał imię mojej przyszłej żony.

— Nie znam jej.

— No to kiedy wrócimy do Łodzi, pójdziemy razem na kawę. Teraz jednak masz sporo czasu, aby o tym powiedzieć Panu. Wkrótce podróż się skończyła. Po paru dniach rzekł:

— Teraz wybierzemy się na kawę do moich teściów. Popraw sobie przynajmniej krawat!

Podawała pewna młoda siostra z tutejszej wspólnoty. W rodzinie tej przyjmowano z reguły zamiejskowych braci, misjonarzy i starszych, przełożonych zborów Bożych. Moja przyszła żona znajdowała się w tym domu już od 4 lat. Śpiewała także w chórze. Interesowały mnie nie młode siostry, lecz pieśni choralne, które służyły mi często jako wprowadzenie w Słowo Boże. Poza tym nie myślałem o terminie swego ożenku, jako że Abraham wiedział, kiedy Izaak ma się ożenić. Sprawy te powierzyłem Opatrzności, bo przecież Pan Bóg wszystko wyznacza i ujawnia w swoim czasie. Jednakże następnego popołudnia podeszedłem i porozmawiałem z nią. Pomodliliśmy się razem i jeszcze tegoż wieczoru ogłosiliśmy nasze zaręczyny, oczywiście ku zdumieniu całej wspólnoty. Nawet jej domownicy dowiedzieli się o tym dopiero z ogłoszenia na nabożeństwie. Bracia i siostry wielbili Boga, że we wszystkich sprawach tak cudownie pomaga i prowadzi. I wieszali nam z radością. Jednakże niektórzy mówili: „No, ale znów nas po mistrzowsku urządził — taka niespodzianka!”. Ale brat Artur nie reagował na te spostrzeżenia, jakby ich nie słyszał. Przyjmował to jako dane od Boga.

Nazajutrz było już wszystko daleko poza mną. Do wesela pozostawały jeszcze tylko 2 miesiące. Bracia i siostry przejęci wiadomością o naszych zaręczynach, przygotowali wszystko na wesele. Nie musiałem się o nic troszczyć. Strona finansowa należała do nich. Tylko garnitur i obrączkę musiałem dopasować. Do Artura miałem tylko jedną prośbę: „Czarny garnitur ślubny dostałem przez was z ręki Bożej, ale wiesz chyba już lub przeczuwasz, o co chciałbym cię poprosić... Gdy będziesz nam udzielał ślubu to chciałbym widzieć cię w jasnym ubraniu”. Zgodziliśmy się tym i zapanowała ogólna radość. Jako tekst związany z zaślubinami dał nam Pan przez niego słowo zapisane w Pieśni nad Pieśniami 1.4: *„Weź mnie ze sobą i pobegnijmy”*. No cóż, nazwisko panieńskie mojej żony brzmi Lauf — „Bieg”. Tak więc jej nazwisko pasowało nawet do tekstu zaślubin.

Na Boże Narodzenie 1938 roku zbor w Supraślu poprosił Artura o wysłanie do nich na święta któregoś z braci. Wybrał mnie. Przed odjazdem powiedział jeszcze:

— Tam są chrześcijanie ewangeliczni. Wylania Ducha Świętego jeszcze nie przeżyli, ale wiesz przecież, że tego potrzebują. Weź jednak pod uwagę, że jest to Boże Narodzenie!

Wigilia była cudowna. Żłóbek Dzieciątka stał się tematem mojego kazania. Zasiadliśmy do wieczerzy wigilijnej. Potem przyszedł ranek Bożego Narodzenia. Mimo wcześniejszych ostrzeżeń czułem, że muszę powiedzieć o wylaniu Ducha Świętego. Odczuwało się cudowną obecność Pana. Starsi zboru byli tym faktem bardzo zaskoczeni. Najstarszy z nich, który mieszkał w tym samym domu, odmówił potem spożycia razem ze mną posiłku. W sercu jednak nadal mieszkła radość. Z całą swobodą wygłaszałem kazania, aż do Sylwestra. W tej grupie czuło się mocno Ducha Bożego. Wiele osób oddało się Panu. Byli

to ludzie ze wszystkich trzech głównych Kościołów: ewangelickiego, rzymsko-katolickiego i greckokatolickiego. W szczególny sposób przeżywalimy pewną godzinę. Lody zostały przełamane i ten najstarszy też się zmienił. Również on zaczął szukać Ducha Świętego.

W Pabianicach pod Łodzią była tylko mała społeczność. Mój serdeczny przyjaciel i kolega ze Szkoły Biblijnej, Wilhelm Russ, opiekował się tą społecznością obok swych zajęć zawodowych. Gdy miałem niedzielę wolną, jeździłem tam. Wspaniałe były nabożeństwa: atmosfera rodzinna, ale zarazem Boża; żadnej niefrasobliwości, ale również żadnej drętwoty lub przygnębienia, lecz bojaźń Boża przynosząca Bożą bliskość. Brat Wilhelm nie był przyzwyczajony do przemawiania, chociaż był obdarzony dobrym głosem. Często słuchałem jego pieśni. Śpiewał z całego serca. Ulubiona jego pieśń brzmiała: „Po tamtej stronie są śpiewy błogosławione”. Często wydawał się jakby oderwany od tej ziemi. Tęsknił za Niebem. Rzadko kiedy przeżywałem taką miłość. I Pan zabrał go do Siebie wcześniej. Zaledwie został powołany na front wschodni, a już przyszła wiadomość o jego śmierci. Małżeństwo Wilhelma było bardzo szczęśliwe, bo również żona szła zdecydowanie za Zbawicielem. Wkrótce po śmierci ukochanego męża ona także została zabrana przez Pana, po krótkiej chorobie.

W tej wspólnotce miałem raz wizytę domową. W rodzinie było czworo lub pięcioro dzieci. Pytałem je po kolei, kim chciałyby być. 12-letnia dziewczynka odrzekła, że chciałyby zostać kaznodzieją. Powiedziała to całkiem poważnie, jakby już знаła swój zawód. Poruszony wewnętrznie, nałożyłem na nią ręce i pomodliłem się. Minęło wiele lat. Było już po wojnie. Dowiadywałem się o nią. I uzyskałem informację, że mieszka w Anglii. Tam głosiła Ewangelię. Jak do tego doszło? Po trudnej ucieczce ze Wschodu uzyskała — jako uciekinierka — pozwolenie na zamieszkanie w Anglii. Niegdyś uczyła się pilnie w szkole średniej angielskiego. Gdy teraz przybyła do Londynu, postarała się zaraz włączyć w nabożeństwa. W książce telefonicznej znalazła całą rubrykę zaczynającą się od słów „Salvation Anny” — „Armia Zbawienia”. Prowadzona wewnętrznie, wybrała pierwszy adres z tego wykazu. Była to kwatera główna. Wzięła udział w nabożeństwie i już tam pozostała. Gdy ją spytano, co chciałyby robić, odpowiedziała, że pozostać kaznodzieją. Kierownictwo było zdziwione. Niemiecka uciekinierka ze Wschodu, mówiąca słabo po angielsku chce być kaznodzieją? Ale ktoś otrzymał oświecenie. Pomyślał nagle o niemieckich obozach jenieckich w Anglii. Powiedział:

— Dobrze, pozostań tu u nas, a Pan Bóg pokaże również nam, kim masz być.

Robiła dobre postępy i wkrótce znalazła się w obozach jako głosicielka Słowa i opiekunka. Bóg błogosławił obficie jej służbę. Jak wiadomo, Armia Zbawienia stosuje również stopnie służbowe. Gdy otrzymała stopień kapitana, poślubiła pewnego porucznika. Do dziś pełni służbę Pana jako kaznodziejka. Chociaż stopniem służbowym przewyższa nadal męża, jest mu posłuszna i oboje żyją szczęśliwie z trojgiem dzieci w Szkocji. Wiele dusz ludzkich zostało już uratowanych dzięki jej służbie.

I znów brat Artur zabrał mnie w podróż na Wschód. Po drodze pozostałem w regionie Rożyszcza, gdzie znajdowała się kolonia niemiecka. Zewsząd nadciągali ludzie. Jedno nabożeństwo trwało prawie 4 godziny. Niekiedy musiałem mówić przez półtorej godziny. Były budujące śpiewy i modlitwy. Czuło się, że coś unosi się w powietrzu. Niektórzy obawiali się, że widzimy się chyba po raz ostatni. Wojna stała przed drzwiami. Proroctwa i wizje były bardzo poważne. Muszę jeszcze coś powiedzieć o zakończeniu. Było wiele łez, prawdziwych łez skruchy. I jeśli ktoś szczerze nawrócił się do Boga lub jako wierzący uporządkował swe życie z Bogiem, to w tym wielkim zamęcie, który niebawem wybuchł, został zachowany i nie skałał się rabunkiem lub nienawiścią do Żydów. Ale ci, którzy byli niezdecydowani i nie przyjęli tej ostatniej propozycji Łaski, popadli już w pierwszych miesiącach (nawet tygodniach), pod władzę ducha ciemności, nadchodzącego właśnie z Zachodu.

Gazet prawie nie czytałem. Po pierwsze były drogie, a po drugie mało miałem czasu na nie. W owych dniach, gdy jesienią roku 1938 Niemcy wkroczyli do Czechosłowacji, przeżyłem następującą wizję: Zobaczyłem Polskę i Rosję jakby na jednej mapie. Od strony zachodniej budowano coś przy jakimś domu, co dochodziło aż do Bugu. Na niebie był wielki napis „5 lat”. Jakiś głęboki rów – jakby przeciwczołgowy ciągnął się od Zatoki Fińskiej aż do Morza Azowskiego. Stali za nim żołnierze rosyjscy. Kiedy dom był już gotowy, przyleciał jakiś głaz z okolic Mińska i spadł nań. Rozwalił ten dom i usłyszałem słowa: „5 lat”. Wiedziałem, co to ma znaczyć. Niemcy zajmą Polskę i utworzą mały skrawek Polski aż do owej rzeki. Powstanie jednak front ciągnący się od Zatoki Fińskiej na północy aż do Morza Azowskiego (Rostów) na południu. Wojna na Wschodzie potrwa 5 lat. I tak też się stało. Jesienią 1939 roku wkroczył Hitler do Polski, utworzył tzw. „Polską Gubernię Generalną”, a jesienią 1944 roku znalazły się wojska rosyjskie nad Wisłą.

W ostatnich 3-4 latach poprzedzających wojnę ludność niemiecka w Polsce uległa groźnej faszyzacji. Wszędzie, aż po Wołyń, powstały grupy hitlerowskie. Nierzadko my, wierzący, byliśmy też zagrożeni. Za odmowę przyłączenia się do takiej grupy groziła nam śmierć. Przez Słowo i Ducha ostrzeżeni na temat przyszłych wydarzeń, pilnowaliśmy się, by nie brać w nich udziału. Wzmocnieni pociechą oczekiwaliśmy rzeczy, jakie miały nadejść.